

„Zmarł Neil Armstrong, pierwszy człowiek, który postawił nogę na Księżycu.”

Tak rozpoczynały swoje dzienniki wszystkie kanały telewizyjne i pokazywały niewyraźny film sprzed lat.

Ta wiadomość przywołała też moje wspomnienia. Była lipcowa noc. Siedzieliśmy z ojcem przed telewizorem. Na ekranie nieostry obraz pokazywał Armstronga stojącego na ostatnim szczeblu drabinki lądownika. Kosmonauta jedną stopą ostrożnie dotykał księżycowego gruntu, jakby badał, czy się w nim nie zapadnie. Potem cofnął stopę, poczekał chwilę i zeskoczył. Nie zapadł się, stał! Stał na Księżycu!

– Ile to się za mojego życia wydarzyło – powiedział wtedy ojciec. – Urodziłem się w domu krytym słomianą strzechą, a teraz oglądam ludzi chodzących po Księżycu.

Minęło wiele lat i dopiero informacja o śmierci Armstronga przypomniła mi słowa ojca wypowiedziane tamtej nocy.

Ojciec urodził się jako poddany cara Mikołaja II w Wólce Drażniewskiej, bo wtedy Drażniew razem z Wólką był częścią carskiego imperium. Dom rodzinny ojca był drewniany, kryty słomą i maleńki jak wszystkie chłopskie domy tam i wtedy. Drażniew leży nad rzeką Tocznią, wpadającą tu do Bugu. Ojciec opowiadał, że obydwie rzeki często wylewały niszcząc zasiewy, a woda podchodziła aż pod jego dom. Po powodzi w zagłębieniach na łąkach zostawała woda, z której grabiami wygarniano ryby. Dla dziecka połowy te były zabawą, ale jego rodzicom nie było do śmiechu, bo ich zasiewy były zniszczone.

Pola było mało i stale go ubywało, bo dzieci zakładające własne rodziny, musiały dostać po kawałku. Dlatego dzielono zagony na węższe i węższe, aż dochodziło do tego, że koń z pługiem nie mógł na nich zawrócić. Często głodowano na przednówkach, a i na niejedną wigilię były tylko placki ziemniaczane pieczone bez tłuszczu na blasze kuchni.

Trzeba było szukać chleba gdzie indziej. Poszła więc jedna z siostr ojca na służbę aż do Radomia, a on sam dorabiał jako flisak przy spławianiu drewna. Spływy ruszały spod Drohiczyzna, a kończyły się pod Toruniem. Były to wyprawy zagraniczne i ojciec był dumnym posiadaczem paszportu, co w tamtych czasach na wsi było rzadkością.

Flisacy na noce i niedziele przybijali do brzegu. Którejś niedzieli cumowali koło małego miasteczka i po mszy w miejscowym kościele dzielna załoga postanowiła się zabawić. Karczmy nie było, a jedyny sklep był zamknięty, bo handel w święta był zabroniony. Sklep był oczywiście żydowski. Flisacy zapukali od tyłu, a Żyd chętnie im otworzył. Podał wódkę, chleb, kiszzone ogórki, kielbasę i rozpoczęła się uczta. Kielbasa miała jakiś dziwny smak i goście zgodnie orzekli, że jest końska.

– Ty Żydzie śmierzdzący! Koniną nas pasiesz? – zakrzyknęli i rzucili się do bicia.

W roboczy dzień zostaliby wyrzuceni i psem poszczuci, ale Żyd obsługując ich w niedzielę, złamał prawo. Dlatego wołał sprawę zatuszować i na stół wjechała normalna kielbasa, przyniesiona przez piękną córkę gospodarza. Potem Żyd odprowadził ich aż do rzeki, kłaniał się nisko i wziął tylko połowę należności.

Praca na wodzie była niebezpieczna i nieraz ktoś wpadał pomiędzy kłody, żebra łamał, a czasem zostawał pod kłodami na zawsze. Może dlatego flisacy nie szanowali zarobionych pieniędzy, a cieszyli się młodością i światem. Jak było tak było, ale ojciec za jeden spływ zarobił na porządne, robione na miarę buty z cholewami. Bardzo dbał o te buty i jeszcze wtedy, gdy Armstrong chodził po Księżycu, stały one na prawidłach, wypastowane na błysk.

Przeszła pierwsza wojna światowa i przyszła wojna bolszewicka. Ciągnęli żołnierze Tuchaczewskiego przez prowizoryczny most na Bugu na Warszawę, a potem uciekali przez ten sam most, ścigani przez błękitnych kawalerzystów Hallera. Pobiegł ojciec nad rzekę zobaczyć jak ruskich biją, ale zobaczył co innego.

Hallerczycy wyłapali okolicznych aktywistów, którzy za bardzo pośpieszyli się z tworzeniem sielsowietów i spędzili ich nad wodę. Siedziało więc nad rzeką kilkudziesięciu przestraszonych i niepewnych swojego losu Polaków, Białorusinów i Żydów. Żołnierze tymczasem poili konie, kąpali się, jedli i pili wódkę. Mieli dość chleba, ale nie mieli igrzysk. Znaleźli. Jeden, już dobrze podpity, podszedł do siedzących więźniów, wybrał kilku i kazał im płynąć na drugą stronę rzeki. Dwóch zaraz zabrały bugowe wiry, ale reszta przepłynęła. On tymczasem przeszedł po moście i kazał ocalałym płynąć z powrotem. Ruszyli, ale dopłynęli tylko do pierwszego filaru. Uczepili się go i prosili o litość. Nie doprosili się. Żołnierz kłął, wrzeszczał, a potem wrzucił do rzeki granat kończąc w ten sposób zabawę.

Po wojnie tereny dzisiejszej Zachodniej Białorusi przypadły Polsce. Zaraz po tym poszła po Podlasiu wieść, że tam można mieć ziemi nawet po włóce lub więcej. Do tego rząd dawał jeszcze ulgi podatkowe, a wymagał tylko pracy. Podlasiacy umieli pracować, ale niewielu odważało się zostawić ojcowiznę i jechać w nieznane. Rodzice ojca, będący już wtedy po czterdziestce, zaryzykowali. Zaryzykowali i wygrali, bo ojciec nie raz wspominał, że od wyjazdu za Bug nigdy już z postem* nie jadał.

Na Białorusi trafili do wsi Prudno w wołkowyskim powiecie. Okolice tam była podobna jak w Drażniewie, ale nie było rzeki i ludzie byli inni. Z dziada pradziada mieszkali tam obok siebie katolicy Polacy i prawosławni Białorusini. Chodzili do innych świątyń, ale do tej samej karczmy, żenili się między sobą i żyli w miarę zgodnie.

Podlascy przybysze mówili inaczej i nawet w kościele śpiewali na inną nutę. Nie rozumieli tamtejszych porządków. Prawosławnych traktowali z pogardą, a ich dzieci śmiały się z dzieci popa. Nie byli więc lubiani przez rdzennych mieszkańców obydwu wyznań i pogardliwie nazywani Mazurami. Nawet tamtejszy katolicki proboszcz nie lubił Mazurów i z ambony wypominał im, że za mało dają na tacę. Mimo wszystko żyć się tam dało.

Pracy było w bród, każda para rąk była cenna, a tu jak na złość o ojca upomniało się wojsko. Przyszło mu stawić się w Ostrołęce w V Pułku Ułanów Zasławskich. Trafił dobrze, bo konie lubił i miał ułańską fantazję. Jeszcze przed wojskiem chadzał w ulubionych butach z cholewami na zabawy do okolicznych wsi, obtańcowywał dziewczyny i bił się z tamtejszymi chłopakami.

W wojsku czuł się dobrze, bo ułani rządzili w Ostrołęce. Przeganiali piechociarzy z zabaw i nie szanowali nawet oficerów innych formacji. Wracał kiedyś ojciec wieczorem z kolegą z przepustki. Obydwaj byli już wtedy kapralami, więc rozmyślnie nie oddali honorów napotkanemu porucznikowi saperów.

– Stać! – zatrzymał ich oficer. – Dlaczego to ułani nie oddają honorów oficerom?

– Przepraszamy, panie poruczniku – odpowiedzieli, stając na baczność. – Jest ciemno, a pan porucznik ma szczy* takie szare, że trudno szarżę rozpoznać.

I cóż mógł ten porucznik odpowiedzieć, skoro jego pagony lśniły słabiej od ułańskich.

Na pokazie wołyżerki ojciec złamał nogę i trafił do wojskowego szpitala. Tam poznał wachmistrza z kwatermistrzostwa i po leczeniu został przeniesiony do pułkowego magazynu. Wtedy rozpoczęły się dla niego złote czasy.

– Ile wtedy zjadłem i wypilem, tyle mojego – wspominał. – Gęba mi się świeciła i pasek u portek trzeba było popuścić.

Awansował też szybciej i służbę zakończył w stopniu plutonowego.

Po wojsku mógł myśleć o ożenku. Myśleć mógł, ale żonę i tak wybrali mu rodzice.

W sąsiedniej wsi mieszkała inna mazurska rodzina przybyła z Suchodołu Wielkiego. Było w niej kilka panien na wydaniu. Tamtejsza głowa rodu pilnowała, żeby córki wydawać według wieku, ale jedna z nich uparła się i za nic nie chciała iść za mąż. Tymczasem następna córka doszła do lat i na wydaniu były już dwie. Pojechał ojciec w swaty do młodszej panny, choć przyszły teść nie chciał jej wydać przez kłodę, czyli poza kolejnością. Targu jednak dobito i uzgodniono, że mój ojciec weźmie młodszą córkę przez kłodę, a za to jego siostra wyjdzie za brata mojej przyszłej mamy. Nie trzeba będzie dzielić pola ani wyprowadzać z obór posagowych krów. Przeprowadzą się tylko obydwie panny młode i nawet posagowe pierzyny pozostaną na starych łózkach.

Pojechał ojciec z narzeczoną do proboszcza zapłacić za ślub i był to ich pierwszy raz sam na sam. Zapłacili ile mogli. Księdzu było to jednak za mało, bo ślub odbył się bez organów i tylko przy czterech zapalonych świecach. Ojciec nie przykładał do tego wagi, ale mama bardzo nad tym bolała i nie lubiła za to proboszcza.

Tak czy inaczej, ślub się odbył i pojawiła się szansa mojego przyjścia na świat. Szansa ta została wykorzystana wiele lat później na poniemieckim Pomorzu, ale podlaska mowa i opowieści o tamtych stronach towarzyszyły mi od dzieciństwa.

Gdyby to było dzisiaj, to moi rodzice poznaliby się na dyskotecie w którejś z ich rodzinnych wsi, bo dzieli je tylko około pół godziny drogi samochodem. Wtedy było to jednak za siódmą górą i rzeką.

Postanowiłem zobaczyć te wsie i razem z żoną wyruszyliśmy na Podlasie.

Naszą podróż zaczęliśmy od Suchodołu Wielkiego, który wcale nie jest wielki. Jest tam kilka dużych gospodarstw, ale wiele domostw wygląda jeszcze tak, jak je widziała moja mama jako dziecko. Zostawiliśmy samochód koło kapliczki przy końcu wsi i poszliśmy szukać domu rodzinnego mamy. We wsi nie było widać nikogo, ale na szerokich i płaskich polach pracowało kilka traktorów. Nigdzie nie było wąskich poletek, o których opowiadała mama. No cóż! Minęło przecież prawie sto lat i półmorgowe splechетки nie wytrzymały próby czasu.

Na jednym z podwórek zobaczyliśmy dwóch mężczyzn. Weszliśmy, podaliśmy nazwisko rodowe ma-

my i zapytaliśmy, czy o nim słyszeli.

– Teraz takich tu nie ma – odpowiedział starszy.

– Moja rodzina wyjechała za Bug po bolszewickiej wojnie – wyjaśniłem.

– Może sąsiad Stanisław pomoże. On ma dziewięćdziesiąt lat, to może coś wie – powiedział nasz rozmówca.

Pan Stanisław był szczupłym mężczyzną, po którym nie było widać wieku.

– Ja pańskiej rodziny nie pamiętam, ale wiem, w którym domu mieszkała – powiedział. – Tego domu już nie ma. Tam teraz jest ogród warzywny, a za nim stoi nowa stodoła. To będzie ze trzysta metry stąd – dodał z podłaska. – Trzeba tu było przyjechać dwadzieścia lat temu, to żyli jeszcze ludzie, co pamiętali pańską rodzinę – dodał na pożegnanie.

Poszliśmy we wskazanym kierunku, znaleźliśmy ogród i nową stodołę za nim. Czas nie stoi w miejscu i tam gdzie kiedyś mieszkała moja mama, rosną teraz truskawki i cebula.

Mama wspominała, że przy drodze leżał duży kamień dzielący wieś na część włościańską i szlachecką, i że ich dom był pierwszym po szlacheckiej stronie. Chodziliśmy po drodze szukając tego symbolu podziału społecznego z tamtych lat, ale nie znaleźliśmy.

Nie było domu, nie było kamienia, był tylko stary drewniany krzyż koło domu pana Stanisława. Może ten krzyż powiedziałby nam coś więcej. Stanęliśmy przed nim i czekaliśmy przez chwilę. Krzyż milczał.

Potem pojechaliśmy do Mordów, bo mama została tam ochrzczona.

Jechaliśmy wspomnianym przez nią gościńcem, którym w czasie bolszewickiej wojny ciągnęła na zachód sowiecka artyleria konna. Ludzie z okolicznych wsi poszli oglądać ten przemarsz. Mama też poszła i z całego przemarszu najbardziej zapamiętała rosyjskiego żołnierza z rozdartymi na tyłku spodniami, leżącego na wozie. Żołnierz przejeżdżając, zawołał:

– Ludzie! Daleko stąd do Warszawy?

Nikt mu nie odpowiedział, ale gapie śmiali się z niego, że do Warszawy wybiera się w podartych portkach.

Dawniej Mordy były na pewno ważniejsze niż dzisiaj. Zbiegało się w nich kilka lokalnych dróg i przechodził wspomniany już gościniec. Koło kościoła były murowane budynki. Wiele z nich stoi do dzisiaj, są zamieszkane i wyglądają jak wtedy. Kościół jest wielki i małej dziewczynce musiał wydawać się jeszcze większy.

Może widywała przed kościołem państwa Przewłockich, mieszkających w pałacu naprzeciwko. Może biegała pod ich parkan, żeby zaglądać na pałacowy dziedziniec. Ciekawe, co było wtedy na placu, gdzie dzisiaj stoi armata–pomnik, przy której miejscowi „ animatorzy kultury ” pili na ławce piwo?

– Co tu jest do fotografowania? – zaczepił nas jeden z nich. – Toż to ruiny.

– Tu była chrzczona moja matka. Przyjechałem zobaczyć to miejsce – wyjaśniłem.

– A! To przepraszam. – powiedział ze zrozumieniem i usiadł koło kolegów.

Pożegnaliśmy Mordy i ruszyliśmy do Drażniewa, żeby poszukać domu rodzinnego mojego ojca. Zaparkowaliśmy przy skrzyżowaniu dróg i zastanawialiśmy się, od czego rozpocząć poszukiwania. Pamiętałem z opowiadań kilka nazwisk ówczesnych sąsiadów ojca, a na Podlasiu są jeszcze na starych domach tabliczki z nazwiskami właścicieli.

Już na najbliższym domu była tabliczka ze znanym mi nazwiskiem, a przy płocie kręcił się mężczyzna wyraźnie zainteresowany naszym autem z obcą rejestracją. Zapytałem go o Wólkę i podałem moje nazwisko oraz nazwisko rodowe babki.

– Wólka jest tam – pokazał na lewo. – Tu nie ma nikogo o pańskim nazwisku, ale jest rodziny o nazwisku pańskiej babki. Jak ona była z Wólki, to pewnie mieszkała na końcu wsi – dodał.

To „jest rodziny” zabrzmiało mi znajomo, bo babka i ojciec też tej formy używali.

Idąc w kierunku końca wsi, znaleźliśmy kolejny dom z tabliczką ze znanym nazwiskiem. Ten dom był niezamieszany.

Koło następnego spotkaliśmy dwoje ludzi i zapytaliśmy ich o dom rodzinny mojego ojca. W trakcie rozmowy wymieniałem kilka znanych mi z opowiadań nazwisk i przy kolejnym z nich nasi rozmówcy spojrzeli na siebie znacząco.

– Toż my się tak nazywamy – powiedział mężczyzna.

– To ja zapraszam na kawę – dodała kobieta.

Przy kawie dowiedzieliśmy się, że dom rodzinny ojca stoi jeszcze, ale nowy właściciel przerabia go na garaż. Ostał się przy nim stary jesion, który teraz jest pomnikiem przyrody.

Powiedziałem, że mój dziadek pochodził z Korczewa, a do Drażniewa przyszedł w prymaki*.

– To niemożliwe – zaprotestował gospodarz. – To nie jest korczewskie nazwisko. To nazwisko pochodzi z Rudy. Tam chyba stoi jeszcze dom, gdzie mieszkał pański dziadek.

Pożegnaliśmy się i poszliśmy obejrzeć ten stary dom pod jesionem.

– Trzeba tu było przyjechać dwadzieścia lat temu, to żyli jeszcze ludzie, co pańską rodzinę pamiętali – usłyszeliśmy na pożegnanie podobne zdanie jak w Suchodole.

Dom rodzinny ojca był drewniany i maleńki. Stojąc przed nim rachowałem w pamięci: mój ojciec, plus czwórka rodzeństwa, plus dziadek z babką, to jest siedem osób. Aż trudno sobie wyobrazić, że się tu wszyscy pomieścili.

Zauważyliśmy, że dom jest w trakcie przeróbki. W tylną ścianę wstawiono dwoje drzwi garażowych i niedługo będą tu stały dwa samochody. To już nigdy nie będzie dom. Już nigdy nie zapłacie w nim dziecko, ani matce nie spadnie łyżka na podłogę. Teraz spadać tu będą tylko klucze lub śrubokręty.

Drażniew należał do parafii w Ruskowie. Ruszyliśmy więc do Ruskowa, ale po drodze skręciliśmy do Rudy, gdzie podobno jest dom rodzinny mojego dziadka. Znaleźliśmy go i miał nawet tabliczkę z moim nazwiskiem! Był podobny do tego z Drażniewa i też niezamieszkany. Ktoś tu jednak czasem bywa, bo pod ścianą leżało niedawno porąbane drewno.

Podobno w domu naprzeciwko mieszka emeryt z Warszawy o moim nazwisku. Spojrzałem w tamtą stronę i zobaczyłem, że warszawiak ma garaż. Dobrze! Nie przerobi dziadkowego domu. Ale czy składzik na drewno to jest coś lepszego niż garaż?

Do Ruskowa wjechaliśmy drogą, którą kiedyś ojciec chodził do kościoła. Przechodził pewnie koło narożnej kapliczki wmurowanej w parkan pałacu Humnickich i mijał dworskie czworaki. W Ruskowie są dwa kościoły, ale ojciec prawdopodobnie chodził do parafialnego, bo do tak zwanego „grzebalnego” chodzili tylko jaśnie państwo. W ich pałacu jest teraz szkoła i przychodnia zdrowia, a w dawnych czworakach nadal mieszkają ludzie.

Ojciec spławiał drewno spod Drohiczyna, więc pojechaliśmy i tam.

Jest to małe miasteczko, ale ma aż cztery przybytki boże dwóch wyznań. Bug tworzy tutaj zakola i stojąc na Wzgórzu Zamkowym, wyobraziłem sobie płynące w dole tratwy i mojego ojca przeskakującego z pnia na pień z osęką w rękach. Zeszliśmy nad rzekę, pospacerowaliśmy po nadbrzeżnych łąkach i wąską ulicą wróciliśmy do centrum

– Jak się państwu podoba nasz gród? – zaczął nas niespodziewanie brodaty mężczyzna.

– Ładny i centrum macie takie zadbane – odpowiedziałem.

– To centrum odszykowali tak na przyjazd Ojca Świętego – powiedział nieznajomy. – Wtedy wszystko pomalowali i poprawili bruki. Tutaj nie ma co robić. Tylko jak Daniel przyjedzie, to idziemy razem na wódkę i pogadamy trochę – dodał.

– Jaki Daniel? – zapytałem.

– Olbrychski! On chodził ze mną do jednej klasy i zawsze o koledze pamięta.

– A kiedy był tu ostatni raz?

– Oj! Dawno już go nie było – odpowiedział nieznajomy i odszedł.

Pożegnaliśmy Podlasie, gdzie urodzili się moi rodzice. Zobaczyłem je po raz pierwszy i zastanawiałem się, co by było, gdybym i ja się tam urodził.

Kim byłbym?

Może zrobiłbym karierę w stolicy i wróciłbym tam jako zamożny emeryt?

Może orałbym moje morgi, a może tylko piłbym piwo koło jakiejś armaty?

Nie wiem. Wiem tylko, że w pobliżu byłoby jakieś bocianie gniazdo, bo boćków na Podlasiu jest co nie-miara.

** jeść z postem – jeść potrawy bez tłuszczu i mięsa*

** szychy – dystynkcje haftowane szychem (nicią owiniętą metalowym drucikiem)*

** iść w prymaki – (rusycyzm) zamieszkać w domu żony*

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Marian, dodano 26.07.2017 12:49

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.